WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK V POZNAŃ LISTOPAD - GRUDZIEŃ 1935 NR. 50

Wydawca: ANDRZEJ PRADZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID



STANISŁAW BRZĘCZKOWSKI „ZAPADŁY KĄT" (linoryt oryg.)

OD WYDAWCY I REDAKCJI

Po raz pięćdziesiąty rozsyłamy dziś „WICI WIELKOPOLSKIE". Ci, którzy wiedzą z jakiemi trzeba walczyć trudnościami, aby — w warunkach obecnych — bez funduszów i bez subwencyj wydawać i redagować nieprzerwanie miesięcznik poświęcony sztuce i kulturze regjonalnej, ci zrozumieją, dlaczego z pełnem uczuciem dumy notujemy fakt ukazania się pięćdziesiątego zeszytu naszego pisma. To uczucie dumy z wytrwania mimo wszystkie trudności i przeszkody — nie odbiera nam bynajmniej zdolności krytycznego spojrzenia na wartość naszego dorobku. Wiemy doskonale, jaka jest dysproporcja między tem, co zamierzyliśmy, a tem, co udało się nam osiągnąć. Wiemy również, gdzie leżą przyczyny naszych niedociągnieć. Wiemy, mimo że dla metod jakie wybraliśmy przystępując do realizowania naszego programu, wysiłek kilkoletni jest jeszcze nazbyt krótki, by z tego etapu móc już podchodzić do badania i oceniania rezultatów. Zakroiliśmy naszą pracę na znacznie odleglejszą metę. A jeśli, w okresie minionym, odłożyliśmy mniejszy szmat drogi, niż odłożyć przypuściliśmy, to — stało się tak spowodu zupełnego nieomal braku środków materjalnych na zasadnicze nawet potrzeby redakcyjne. Od wydawcy i redakcji aż do — korektorek, wszyscy pracowali i pracują bezinteresownie. Ta bezinteresowność umożliwiła Wiciom Wielkopolskim trwanie. Ale istnienie swe zawdzięczają „Wici" przedewszystkiem bezinteresowności wszystkich, bez wyjątku, współpracowników. W odpowiedzi na apel nasz ogłoszony na łamach pierwszego zeszytu Wici Wielkopolskich w październiku 1931 r. stukilkudziesięciu autorów pospieszyło z życzliwą i ofiarną pomocą. I dlatego niech nam wolno będzie na wstępie do pięćdziesiątego zeszytu naszego miesięcznika złożyć serdeczne podziękowanie wszystkim Współtwórcom pierwszych pięćdziesięciu zeszytów WICI WIELKOPOLSKICH, a mianowicie PP.: Bąkowi Wojciechowi, Balickiemu Stefanowi, Banaszakowi Władysławowi, Beilmannównie Zofji, Birkenmajerowi Józefowi, Bochenkowi Leonowi, Bogaczykowi Romualdowi, Brzęczkowskiemu Stanisławowi, Brzeskiej Wandzie, Brzezińskiej Jolencie, Brzezińskiemu Józefowi, Buderawskiej Barbarze, Charkiewiczowi Adamowi, Chmurze Piotrowi, Czarnowodzkiemu Januszowi, Czernikowi Stanisławowi, Dąbrowskiemu Stanisławowi, Deresiewiczowi Bogdanowi, Deresiewiczowi Januszowi, Dereżyńskiemu Mieczysławowi, Derynżance Janinie, Dołżyckiemu Leonowi, Dostatniemu Jerzemu, Drwęskiej-Doeryngowej Zofji, Dytkiewiczowi Adamowi, Fabianowi Wiktorowi, Fiweger-Szpunarowej Kazimierze, Frydrychowi Władysławowi, ks. Gomolewskiemu Franciszkowi, Grotowi Franciszkowi, Hanyżowi Andrzejowi, Harasiewiczowi Antoniemu, Helsztyńskiemu Stanisławowi, Iwańskiej Alicji, Jernasowi Florjanowi, Jesionowskiemu Alfredowi, Kaczmarkowi Leonowi, Kaczmarkowi Zdzisławowi, Kadjaszowi Stefanowi, Kędzierskiemu Czesławowi, Klusce Józefowi, Koehlerównie Anieli, Koczemu Leonowi, Kołodziejczykowi Józefowi, śp. Kołomłockiemu Stefanowi, Kołomłockiemu Władysławowi, Kontnemu Franciszkowi, Kosidowskiemu Zenonowi, Kosce Allanowi, Kowalkowskiemu Alfredowi, Kowalkowskiemu Zygfrydowi, Kuminkowi Henrykowi, Lwowskiemu Sylwestrowi, Maciejewskiemu Bogdanowi, Magdańskiemu Marjanowi, Magierowej Ninie, Majewskiej Zofji, Mellerowi Konradowi, Morskiemu Eugenjuszowi, Mrozińskiemu Janowi, Mycielskiej Helenie, Noskowskiemu Witoldowi, Orczykowi Jackowi, Papéemu Stefanowi, Pateckiemu Marjanowi, Pawlakowi Felicjanowi, Piechockiemu Janowi, Pietrykowskiemu Tadeuszowi, Pigwie Szymonowi, Polankiewiczównie Wandzie, Połczyńskiemu-Janta Aleksandrowi, Pomykajowi Stanisławowi, Pospieszalskiemu Antoniemu, Prądzyńskiemu Edwardowi, Rejmanowi Januszowi, Rogalskiemu Aleksandrowi, Rosickiemu Teodorowi, Royowi Stanisławowi, Rusinkowi Michałowi, Rychterowi Witoldowi, Spychalskiemu Janowi, Stablewskiej Irenie, Stasiewskiemu Juljanowi, Stonowi Witoldowi, Strąbskiemu Stanisławowi, Swieżawskiej Hannie, Swieżyńskiemu Ryszardowi, Swinarskiemu Artur-Marji, Szalli Janowi, Szczebrzycowi Bronisławowi, Szleszkowskiemu Adamowi, Szmajowi Stefanowi, Szpunarowi Juljanowi, Sztaudyngerowi Janowi, Szymańskiemu Janowi, Szyperskiemu Alfonsowi, Tałunie Teodorowi, Turkowskiemu Leonardowi, Wachowiakowi Ludomirowi, Wasilewskiemu Zygmuntowi, Waszakowi Stanisławowi, Witkowskiemu Leonowi, Witt Edwinowi, Wojciechowskiemu Jakubowi, Wojtkowskiemu Andrzejowi, Wojcieszyńskiemu Stanisławowi, Wronieckiemu Janowi, ks. Zakrzewskiemu Zdzisławowi, Zakrzewskiemu Bogdanowi, Zaleskiemu Zygmuntowi, Zgaińskiemu Stanisławowi, Zgodzińskiemu Czesławowi, Znanieckiemu Juljanowi.

BIBLJOTEKA WICI WIELKOPOLSKICH

Szczupłe kolumny Wici Wielkopolskich nie pozwalają na publikowanie dłuższych utworów prozy i obszerniejszego wyboru poezyj autorów współpracujących z „Wiciami". Fakt ten spowodował powstanie „Bibljoteki Wici Wielkopolskich". Do tej pory na „Bibljotekę" składają się następujące tomiki: Stanisława Helsztyńskiego „Gniazdo Orła" (zbiór sonetów), Marjana Turwida „Dni Wielkiej Doliny" (ballady i elegje), Stanisława Helsztyńskiego „Księga Ozeasza" (przekład biblijny), Alfonsa Szyperskiego „Geografja Talentów Wielkopolskich" (studjum regjonalistyczne), Stanisława Czernika „Przyjaźń z Ziemią" (tom poezyj), Ryszarda Jastrzębskiego „Średniowiecze" (sonety), Jerzego Bandrowskiego „O Małem Miasteczku" (tom feljetonów), Leonarda Turkowskiego „Krzyż na Rozdrożu" (wybór poezyj).

Każdy tomik odbito w 300 egzemplarzach. W najbliższych miesiącach ukażą się dalsze, następujące tomiki Bibljoteki: Henryka Kuminka „Regjon Twórczy", Florjana Jernasa „Ballady", Artura-Marji-Swinarskiego „Wybór Satyr", oraz zbiory nowel Stefana Balickiego i Marjana Turwida. Najbliższe tomiki ukażą się w układzie graficznym utalentowanych grafików wielkopolskich: Stanisława Brzęczkowskiego, Romualda Bogaczyka i Władysława Frydrycha.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

FRAGMENT NIEZNANEGO POEMATU

CZĘŚĆ DRUGA I OSTATNIA

W „Wiciach" nr. 34-35 ogłosiłem pierwszą część poematu Stanisława Przybyszewskiego przesłanego w latach 1889—1890 na ręce Pauliny Pajzderskiej. Rzecz nie była pisana pod jej natchnieniem. Odnosiła się do nieszczęśliwej miłości Przybyszewskiego, którą wzbudziła w nim w okresie wągrowieckim w latach 1886—1888 panna Helena *Sztyler* (błędnie w numerze poprzednim Schiller). Pochodziła ona z Dakowów Mokrych, była córką dyrektora gorzelni, wyszła 4 czerwca 1888 za mąż za p. Karola Derferta. Żadne z małżonków już nie żyje.

Poniżej podana druga i ostatnia część poematu odzwierciedla stan duszy zakochanego gimnazjasty, przesyconego melancholijnym weltschmerzem. Większość obrazów obraca się dokoła tematu śmierci i pogrzebu bohatera. Zaczytany w Słowackim, Byronie i Heinem, Przybyszewski modeluje swój rzeczywisty ból według wzorów romantycznych.

Fragment niniejszy wejdzie z przypisami do tomiku: *„Młodzieńcze utwory wierszowane S. Przybyszewskiego"*, nakładem Bibljoteki Wici.

Warszawa, wrzesień 1934.

Stanisław Helsztyński.

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Biedny młodzieńcze! cóż ci tak skłania
Twą piękną dumną głowę ku ziemi —
Jakby walk ducha straszne łamanie
Jakby dym ofiar życia olbrzymi
Falą się nad Twem przewinął czołem,
I duszy twojej młodość zacienił?...

Lecz nie! Tyś nigdy nie był wesołym,
I nikt nikt ci jeszcze nie rozpromienił
Smutku, co zaległ ponurym cieniem
Na myśli Twojej sokolim locie —
Serce Twe nigdy tajemnem drżeniem
Nie zatętniało w cichej tęsknocie
Do uciech życia — chociaż marzeniem...

Coś w twojej duszy nurtuje skrycie
a w już przygasłym blasku źrenicy
Jakby złamanych skrzydeł odbicie,
Jakby bezbrzeżnej odblask tęsknicy —
Ciemność twej duszy, jak dżumy plama
Stygmat na twarzy Twojej wyryła,
Łza na Twem oku, to łza ta sama,
Co dawno — dawno treść swą przeżyła,
Z serca wyssała myśli i życie,
A potem w strasznej smutku godzinie
Zakamieniała w oka błękicie —
Streściła życie i już nie spłynie...

— — — — — — — — — — — —

Pomnisz noc ową, kiedy na kwiatach
Pieściłaś w sercu zachwyt miłosny,
Co się na nieba i ziemi światach
Rozlał potężną falą tchnień wiosny?

Tyś słyszał wtedy potężne pieśni,
Echem ci ku nim serce zadrgnęło,
I Twoja dusza nigdy nie prześni,
Co ci się wtedy w piersi przyśniło...
A z snów tych każdy to pieśń promienna,
Czysta, potężna, ale zaklęta,
Na dnie się duszy roi bezczynna,
W słowa ludzkiego moc nie ujęta...

O! noc to była cicha wiosenna,
Rozkołysana w dziewiczem tchnieniu,
A czoła Twego zaduma senna,
W czarownej nocy pieszczona cieniu,
Płynęła w górę ku mgle miesiąca,
Natchniona, święta — promieniejąca...

O! jakże wtedy Twe serce dumne,
Namiętnych pragnień krwią roztętnione,
Roiło dumań zastępy tłumne
A w górę biło wskroś roztęsknione!...
Na wiatr się święta Twa pieśń rozwiała,
A Twojej duszy promienna modła,
W falach sfer tonów rozdrgana cała,
W jakieś Cię kraje urocze wiodła,
I w rajskich czarów świętą słoneczność...
A przed Twej myśli szklistym kryształem
Jakichś tajemnic rozwarła wieczność,
Owianych skrzydłem anioła białem...
I lot Twej myśli coraz to szerszy,
Spłynął gdzieś w górę, gdzie tęczę pletą
Święci anieli!... Tyś po raz pierwszy
W raju tej nocy czuł się poetą!...

I odtąd pieśń Ci była kochanką,
Najpromienistszą z wszystkich kochanek—
Złotą ją marzeń przybrałeś tkanką,
Na czoło jasny złożyłeś wianek,
Z srebrzystych blasków świty miesiąca
A z mgieł kryształów i pereł tęczy..
I była jakby gwiazda wschodząca,
Kiedy na niebie zmrok rozpajęczy
Swietlanych cieni przejrzystą siatkę —
Tyś ją ukochał myśli twej szałem
Więcej nad życie — więcej nad matkę
Tchnieniem'ś ją swojem ukochał całem...
I pod jej nogi usłałeś serce,
Potęgi myśli barwne kobierce, —
A potem'ś w świetnym skąpał ją świcie,
Boś odtąd nowe rozpoczął życie...

I dusza wzbiegła gdzieś w niebios szczyty,
W gwiazd się stroiła blask i błękity —
Płonęła w tajnych przeczuć głębinie
I skrzydła w natchnień boskie krynice
Kąpała białe — i gwiazd promienie
Zbierała w jeden świetlany wianek
Dla tej przeczystej, jasnej dziewicy
Tej świętej pieśni — matki omanek...
Dałeś jej wszystko życiem karmiłeś,
W nią serca swego przelałeś tętno
I odtąd tylko w niej i nią żyłeś —
A na jej czole wyryłeś piętno,
Potężny stygmat wiecznego bytu —
Wiecznego piękna — nieśmiertelności!
Odkupień sławy — blaskiem przedświtu
I promienistą chwałą boskości
Oblałeś czoła jej moc promienną
I genijuszu natchnąłeś gwiazdką —
A w sen ją'ś tulił ciszą wiosenną
I jasną życia Twego powiastką.

I jako matka czuwa nad dzieckiem,
Kiedy ma w życia wstąpić już progi
I go przed światem chroni zdradzieckiem
Może tam jeszcze trup jaki żyje
W myśli mogiłach!... mogił bez liku,
A każda jakieś marzenie kryje,
Tęczowe, jasne, lecz w sen zaklęte...
Rozświeć pochodnią na tym smętarzu
Festony cieni, wokół rozpięte —
Tam na samotnym życia ołtarzu,
Gdzie tak niedawno w blasku zaświatów
Spoczęła jasna dziewicy głowa —
Zobaczysz może garść zwiędłych kwiatów—
Może na twego zaklęcia słowa
Jaka pieśń wstanie ze swej mogiły;
Lecz serca niema — i niema ciepła,
A pieśń ta nędzna bez krwi i siły —
Siła złamana, a krew w niej skrzepła!...

Lecz nie! Tam nie wchodź blady aniele —
Precz od tej smutnej serca świątnicy —
Ja tam kapłanem w serca kościele, —
Ołtarz święcony łzami dziewicy,
Błogosławiony jej białą dłonią,
Cały przybrany czarem jej pieśni...
Czy słyszysz dzwony? Jak one dzwonią,
Coraz poważniej, coraz boleśniej!!...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Ha! jam dziś dumny — jak bardzo dumny,
Dziś, gdzie ta błędnie w myśli się plecie,
Gdzie u młodości stanąłem trumny,
Ha! jam poetą ty nędzny świecie,
Co mną pomiatasz, w tym twoim tłumie —
Całe mi czoło spłonęło w dumie —
Z duszy wypadło iskier tysiące
Płomiennych myśli, jak fale wrzące!...
Dziś łez już nie mam, ale pioruny,
Ale błyskawic potężne łuny,
Ale żar piekieł — piorunne słowa —
O! jak mi od nich pali się głowa!...
Ha! jak dziś wielki — dumny szaleniec —
Patrzcie! ten krwawy -- płomienny wieniec
Ze samych myśli i pragnień zwity,
On choć złocony i wpół przegnity.
Jednak nas wszystkich skręci — opasze,
I ściśnie mocą zimnych obręczy
Wasze pragnienia i serca wasze...
On, co dziś czoło szaleńca wieńczy,
On wszystkich w jedno was cielsko skuje,
A potem, potem — ha! nad tym tłumem
Wzniosę się orłem, dumnym wspaniałym
Z pieśni mych głuchym—ponurym szumem
Z mojem szaleństwem i bólem całym!...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Widzę Cię widzę dumką senliwą,
Uśpioną w marzeń sen nieprześniony,
Jeszcze Cię widzę z tą łzą tęskliwą,
Nakształt promienia, co roztopiony
Na wód przejrzystym, czystym krysztale
Łamie się w szklistych pereł tysiące,
Rozprysłym blaskiem ozłaca fale
I mgieł nadwodnych festony drżące...
O! jak ten promień, co wszystko w złota,
Czego się dotknie, rozbłysk przemienia,
Tak tej dziewicy święta tęschnota
Rozdartej duszy noce i cienia
Zwolna w przedświtu stroiła brzaski,
I w jakieś święte, nieziemskie blaski...
A dziś o Boże! znowu noc ciemna,
Myśl obłąkana polot straciła,
Pieśń jakby światło miesiąca — zimna —
I wszystko jedna wielka mogiła...
O! jak mi smutno w mojej mogile
Jak ołów wolno wloką się chwile,
A nad mogiłą o! nad zieloną
Dzwon pogrzebowy, jęki rozsyła,
I smutno gwiazdki na niebie płoną,
O! jaka zimna moja mogiła!...
Na moim grobie wiatr gra w cyprysie,
Jakiejś żałobnej piosenki tony,
I znowu cisza spokojna, smętna,
Jakby świat cały spoczął w mogile,
Jakby ustały natury tętna
W swojej odwiecznej tworzenia sile —
Z góry świetlanną i roztopioną
Lawą purpury blasków i złota
Płynęły nocy mgły tajemnicze
Na ziemi wielkie, odwieczne łono...
I jakaś święta — cicha tęschnota,
Jakby dumnie czyste — dziewicze,
W kształt fali morza wolno się lała

Po pól szerokich, pysznych kobiercach,
Albo modlitwy łzą opadała
Na ludzi smutnych zbolałych sercach...
A wśród tej ciszy cichego zmroku
Naraz się rozlał zwolna ton jeden,
Dźwięczny, poważny, pełen uroku,
W jaki się stroi, aniołów Eden!...
Stepowem brzmieniem zadrgał w eterze,
Szerokim szlakiem brzmiących rozdrgnieni
Tonął w błękitnej, niebieskiej sferze
Wśród zlewu światła i mrocznych cieni...

I znów się jeden rozlał jęk dzwonu,
Potem się jęków falą przewinął
Przez mgły podniebne, i w jeden tonu
Wytrysk rozlany — płynął, a płynął...

— — — — — — — — — — —

Tak też i w ludzkiem sercu się zbiera
Łkanie do łkania, aż wreszcie razem
Straszliwym jękiem piersi rozpiera,
Albo opadnie kamiennym głazem
Na już zagasłem serca ognisku...
Ból, w skład którego zwolna wchodziły
Zawód i niechęć w zgodnym uścisku
I łza tęschnoty i pleśń mogiły
i szał rozpaczy i obłęd ciemny —
Ten najstraszliwszy!... Ostrożny — zimny
Zwolna się w ludzkiej rozściela piersi,
Jak wąż ją całą wkoło okręci —
I coraz większy i coraz szerszy...
O! gdyby wtedy nie mieć pamięci!!...
I coraz szerzej lały się dźwięki —
Szerokim szlakiem płynęła fala —
Niosła westchnienia i łzy i jęki,
I szał, co ludzkie piersi rozpala,
I szept bolesny i łzy radości
Wszystko to niosła gdzieś na mgieł nawę,
Gdzieś przed odwieczne trony miłości,
Przed serce Maryi boleścią krwawe
Ave!...

Pomnę tę chwilę ciszy promiennej,
Gdy tajemnica nocy wiosennej
Zasłoną spadła na świata brud —
Świat zuroczyścia — korny, przejęty,
Bo w jego sercu ofiary świętej
Ow niepojęty spełniał się cud —
I głośniej liście topól szumiały,
Tęskliwiej fale eterów drżały,
Rozdrgane dumką senliwych pól,
Echem oddźwiękła noc zadumana
I echem smutku tęskny młodziana
Przywtórzył czoła promienny ból...
I jakieś tony, jakieś odgłosy
Płyną gdzieś z góry kroplami rosy
Wśród wiosny wonnych dziewiczych
To znów tryskają pereł kaskadą [tchnień,
Wiją się w górę w miesiąca bladą
Magicznie piękną świetlaną cień...
I światów twory i nieba cud,
I życia ludzi boleśny trud
To jeden ton
I jeden dzwon
Ave Maria!..

Jak ten dzwon jęczy!... Zamilknij dzwonie,
Bo głowa pęknie, od twych rozjęków
I serce skona w rozdartem łonie
Od twych piekielnych, straszliwych
dźwięków...
Cicho!... to moja dawna pieśń życia,
Dźwiękami dzwonu w górę się leje,
O! pewno kona! Bo już przeżycia —
Woń śmierci od niej tu ku mnie wieje...
A! jak ja kiedyś tę pieśń kochałem,
Jak jam ją pieścił — rozbujał szałem,
Jakie'm potężne przypiął jej skrzydła,
I jakie wonne palił kadzidła!!...
A dziś mi ona tylko wspomnieniem,
Strasznem, bolesnem — ta wykarmiona
Krwią mego serca,pragnień mych drżeniem
Dziś — dziś tak takrychło i już mi kona!!...

— — — — — — — — — — —

A jam tam władny! — — — — — —
— — — — — — Konaj przeklęta!
Pieśni młodości — wspomnień i szału,
Ty kiedyś jasna, czysta i święta,
Dziś brudna błotem i pełna kału —
Skonaj przeklęta... Widzisz tam trumna,
Już ją prowadzą, kirem pokryta,
Tam moja młodość spoczywa dumna,
Szaleństwa wieńcem cała spowita...
Jak ona piękna, choć skamieniała,
A ta twarz zimna, jak marmurowa!
A przecież dawniej blaskami lśniała
Promieniem myśli pałała głowa..

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Zagasło życie, skonało serce...
Cicho! już przy mnie! O! jam szalony!
Te ścięte usta, blade, szydercze,
Ten straszny uśmiech na nich spalony
To młodość moja?!... Gdzie myśli blaski
Gdzie ten zaświatów urok tęschnicy
Gdzie te promienne natchnienia brzaski,
Gdzie to dumanie czyste dziewicy?...
Ból i szyderstwo!!... Przekleństwo życiu,
Co nad to więcej nic nie wyżyło,
A w młodociannem lat moich kwieciu
Truciznę tylko i jad szczepiło!....
O! Tak wspaniałej, wielkiej zapłaty
Za męki życia nikt nie otrzyma,...
Zamienić serce na zwiędłe kwiaty,
Miłość na błoto i moc olbrzyma
W jednym fałszywym strwonić uścisku
Wszakże szaleństwem żyćby tak dłużej!...

Już gaśnie płomień w życia ognisku,
Coraz to ciemniej, tak wszystko nuży —
Pogaście światła!... Ha! cisza wszędzie —
Ponura cisza, jak w głuchym grobie —
Ostatniej pieśni — pieśni łabędziej,
Niech ton ostatni poduma sobie
Na tej zawartej młodości trumnie.
Jakieś wspomnienia cisną się tłumnie,
Jakieś dumania — śni się coś — roi
Czarno mi w oczach... wszystko się dwoi...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Jak ta pieśń jęczy!... Czy anioł płacze
Anioł młodości za snem prześnionym
Za tym tak krótkim, a już minionym?...
Pewno do mego serca kołacze
odnowa w życie pragnie je zbudzić —
On nie wie, że tam serca już niema —
Nic już nie zdoła ciszy zakłócić,
Co pierś mą w swojem objęciu trzyma...

Jak dał jej wszystko!... Stróżu-aniele
Idź weź to serce, co kiejś jej dałem —
Tu w mojej piersi — w ofiar popiele,
Nienasyconych pragnieni szałem
Dawno spalonej — i iskry nie ma,
którąbyś w płomień życia rozetlił,
Tam lód sam tylko — śniegi i zima —

Chybabyś ciemność grobów rozświetlił
A w piersi mojej — w dum mogilniku,
Na moich astrach szron srebrny szkli się
I cały cyprys szronem zwarzony...
I tylko słyszę wiatru gwizdanie,
I widzę tylko szkliste miganie
Srebrzystych pereł białego szronu,
I coraz dźwięczniej, coraz boleśniej —
Z wiatru cichego — długiego tonu,
Jakieś tu do mnie spływają pieśni...
I wszystkie w jeden spływają strumien,
Jak wstęgą stroi się nim ma głowa,
I w duszy wznieca na nowo płomień
Sennych przypomnień: Luba bądź zdrowa!

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

PRZYBYSZEWSKI NASZ

W osobie Stanisława Przybyszewskiego mamy do czynienia z naturą artystycznie i ludzko niesłychanie złożoną. Aż dziw, że na terenie Kresów zachodnich pojawił się ktoś tak diametralnie różny od swego otoczenia, od całego tego środowiska. Tu gdzie trzeźwość, żelazna logika myśli, wstrzemięźliwość w okazywaniu serca, oszczędność, uporczywa wola w utrzymaniu się przy fizycznym odcinku pracy stanowiły kanon życia, uświęcony interesami zagrożonego bytu politycznego, urodził się artysta *pur sang*, zaprzeczenie wszelkich zasad kalkulowanych zimnym rozumem, fanatyk sztuki, chwalca niefrasobliwej fantazji, nie liczący się z czasem i przestrzenią, z pieniędzmi, z konwencjami jakiegokolwiek *status quo* socjalnego.

Kiedy umarł, zostawił puściznę swoją w najgorszym stanie, nieuporządkowaną, nieobjętą nigdy za życia jakiemś przyzwoitem wydaniem zbiorowem, zagmatwaną do tego stopnia, że własna rodzina nie orjentowała się i zaczęła raz po raz ogłaszać jako *inedita* rzeczy, które ukazały się dawno temu, czasem nie jeden, lecz więcej razy. Parokrotnie trzeba było podkreślić bezład panujący w tej dziedzinie i zwrócić uwagę na zdradliwość Przybyszewscianów wogóle. Zabiegi, podjęte dla wydania całości pism w języku niemieckim i polskim okazały się marzeniem nie do wykonania: edycja musiałaby być dwujęzyczna, stąd kosztowna, trudno dostępna. Interpelowanie odpowiednich czynników okazało beznadziejność sytuacji. Krzyż na 20, na 30 lat, jeżeli wogóle nie na zawsze.

Aktualną okazała się nie sprawa *dzieł*, lecz samej *osoby* autora, jego życia i oddziaływania pośmiertnego, tego obrazu, powiedziećby można skrzepu wiecznościowego, w jakim oglądać będzie go obecne i dalsze pokolenie. Ubiegając wszelkich żywociarzy, którzy stawiają genjuszowi po śmierci irytujące, sztywne, nieprawdziwe pomniki z bronzu, wystylizowane na podstawie bezdusznych schematów, abstrakcyj i hipotez Przybyszewski, egotysta *par exellence*, w kilkunastu szkicach autobiograficznych, wreszcie w dwóch tomach Wspomnień stworzył sobie sam *monumentum aere perennius.* Od r. 1896, kiedy na prośbę Miriama szkicował przebieg swej karjery, do r. 1927, gdy na Zamku w Warszawie chwiejną już ręką próbował dokończyć opowiadania o Krakowie z przed lat 25, powlekał setki stronic pozłotą autobiograficzną, nie wytrzymującą

niestety! próby czasu. Ledwie zamknęło się wieko trumny nad poetą i jego żoną, zaczęły ukazywać się rewelacje, obalające niejeden szczegół legendy; ktoś życzliwy, lecz bezwzględny rzucił słowo: Kłamstwo! Wywiązały się polemiki, posypały listy i dowody za jedną lub drugą tezą, prawdziwość konstrukcyj autobiograficznych Przybyszewskiego stanęła pod znakiem zapytania.

Świadectwem, że w „Moich Współczesnych“ w cz. I, odnoszącej się do obcych, przeważnie do Niemców, nie wszystko jest w porządku, była reakcja czasopisma „Der Tag“, które (10-2-26) po ogłoszeniu kilku wyjątków z utworu poety zamieściło szyderczy artykuł: Der grössenwahnsinnige Przybyszewski. ...Pięć powieści i dramatów, które przyjaciele Niemcy prawie bezpośrednio po rzekomych triumfach berlińskich Przybyszewskiego ogłosili, pełnych jest rzeczy negatywnych, zjadliwych, nad wyraz przykrych, widać, że w złośliwości przejaskrawionych. W kraju, jeśli sięgnąć do okresu, kiedy imię Przybyszewskiego było sztandarem w walce, równie łatwo spotkać słowa uwielbienia jak i najbrudniejsze obelgi pod adr. artysty.

Gdzież złoty środek, gdzie prawda, gdzie Przybyszewski, niebronzowany, odbronzowany, żywy, taki, jakim był w rzeczywistości, taki, jakim go znaliśmy pomiędzy sobą, my Wielkopolanie, w jego okresie monachijskim, czy „zdrojowym“? Gdzież ten człowiek skromny, łagodny, wyrozumiały, życzliwy, nieledwie brat każdemu, przyjaciel i opiekun rodaków, bez pozy a elektryzujący samą obecnością, suggestywny, subtelny, najlepszy z przyjaciół?

Nie idzie o Przybyszewskiego na forum europejskiem — tego malują dzieła z epoki berlińskiej i kongsvnigerskiej i listy do przyjaciół Niemców, blisko 200 pozycyj pierwszorzędnej wartości dla moderny niemieckiej i czeskiej. Nawet nie o tego Przybyszewskiego, który nonszalancją i furją ataków na małomieszczaństwo galicyjskie wywołał rewolucję literacką po swym przyjeździe do Polski. Przyjaciele małopolscy, następnie warszawscy zachowali pamięć tych dni, opisali je, dokumenty poskładali do bibljotek i muzeów. Nam rodakom najbliższym, krajanom, Wielkopolanom idzie o Przybyszewskiedo naszego, poznańskiego, wielkopolskiego. Nikt o nim tu nie wspominał, tu genjusz Przybyszewskiego się nie przejawił. Mamy co najwyżej do zanotowania jego najbardziej szary okres, rok pracy urzędniczej na poczcie poznańskiej, działalność w dużej mierze anonimową w „Zdroju“, wydanie dwóch, trzech książek — to i wszystko.

Dopiero zebranie listów i pamiątek po dziecięcych i młodzieńczych latach poety, wraca go nam i włącza do osób bliskich, swoich, związanych z terenem naszym nierozerwalnie, swoiście, jedynie, szczerzej niż z innemi dzielnicami. W grę wchodzą lata łojewskie, toruńskie, wągrowieckie aż po rok 1889, kiedy to na zawsze opuścił kraj lat dziecinnych. Tak się dziwnie złożyło, że spora ilość dokumentów z tej epoki młodego Stanisława, znalazła się dzięki jego późniejszej przyjaźni z p. Stefanem Demby, obecnym dyr. Bibljoteki Narodowej, w Warszawie w centralnym księgozbiorze kraju. Mimo to większość przechowała się na ziemi ściśle rodzinnej. I tak najstarszy ślad twórczości dziesięcioletniego chłopca znajduje się w Odolanowie, w rękach p. Stanisławy Piszczygłowy, która posiada ponadto bezcenny pakiet listów Przybyszewskiego, pisanych z Kongsvinger do rodziców w Wągrówcu. Cykl słowianofilskich rozpraw — listów, wysyłanych przez Przybyszewskiego z gimnazjum wągrowieckiego do Praksedy Żmudzińskiej w Krobi w latach 1885—86, dostał się do Książnicy im. M. Kopernika w Toruniu. W posiadaniu p. Bogumiły Łukomskiej w Poznaniu dotrwały do naszych dni przepiękne wyznania miłosne poety, dla Heleny Sztylerówny z Dakowów Mokrych i szereg ciekawych listów, przeznaczonych dla adresatki, która w powieści „Po drodze“ zajaśniała wszystkiemi blaskami słowiańskiego dziewczęcia jako Maryta Kauer. Kilka poematów

ANONIM GALLUS:
Przełożył: Józef Birkenmajer

TREN ŻAŁOBNY NA ŚMIERĆ KRÓLA BOLESŁAWA CHROBREGO

Ludzie wszelkiej płci i wieku! Wszystkie stany spieszcie!
Pogrzeb króla Bolesława w bólu dziś ujrzyjcie!
Nad wielkiego Męża zgonem ze mną w płacz uderzcie!

Biadaż nam, ach Bolesławie! Gdzie twa sława wielka?
Gdzie twe męstwo? ...kędy blask twój? ...kędy możność wszelka?
Jeno łzy ma dziś po Tobie Polska — Rodzicielka!

Podźwignijcie mnie mdlejącą, pany-towarzysze!
Wojownicy! niech współczucie z waszych ust posłyszę!
Żem dziś wdowa — żem samotna — spójrzcie, ach, przybysze!...

Jakaż boleść, jaka żałość śród książąt Kościoła!
Wodze w smutku odrętwieli, pochylili czoła...
I kapłany i dworzany — każdy „Biadaż!“ woła...

Wy, panowie, co nosicie łańcuch, znak rycerzy,
coście mieli codzień pieczę królewskiej odzieży,
wraz wołajcie: „Biadaż wszystkim! Ból się wszędy szerzy!“

Wy, matrony, swe korony zrzućcie niepotrzebne!
W kąt schowajcie stroje cenne, złociste i srebrne!
W suknie stroójcie się włosienne, żałobne i zgrzebne!

Przecz odchodzisz od nas, ojcze!... Bolesławie!... Gorze!...
Przecz mężowi tak wielkiemu śmierć zesłałeś, Boże?..
Przecz nie dałeś i nam wszystkim umrzeć w jednej porze?...

Cała ziemia opuszczona, wdowa swego króla,
jako pusty dom bezpański, w którym wicher hula,
płacze, skłania się w żałobie... ani się utula!...

Wszyscy ze mną czcijcie pogrzeb Męża tej zacności:
bogacz, nędzarz, ksiądz czy rycerz — i wy, kmiecie prości,
czy kto żyje śród słowiańskich czy łacińskich włości!

ICzytelniku! Niech ma prośba nie będzie daremną..,
ty wzrusz się ...i łzę wylej — choćby potajemną!
Bo nieludzki byłbyś wielce, byś nie płakał ze mną...

Przybyszewskiego, w całości około 1000 wierszy, rozproszyło się po świecie, jeden znalazł się u piszącego te słowa, w Kosowie nad Obrą.

Jeżeli dodać jeszcze to, co po Przybyszewskim — młodzieńcu skupiło się u kolekcjonerów wielkopolskich, a mam na myśli p. St. Latanowicza w Poznaniu, posiadającego cenny list wągrowiecki z 1885 i 16-stronnicowy kajet z próbami pisma sanskryckiego, — oraz zbiory p. Marjana Habera w Kołdrąbiu koło Janowca, gdzie obok autografów szeregu wielkości europejskich, czeka na ogłoszenie kilkanaście listów autora „Z gleby kujawskiej", to trzeba przyznać, że posiedliśmy prawie komplet do fenomenu, któremu na imię: młody Przybyszewski. Nie potrzebuję dodawać, że tu zaliczam listy jego do ks. Kompfa, przechowywane przez rodzinę księdza w Inowrocławiu, niezwykły cykl wynurzeń, zawartych w listach do Pauliny i Tomasza Pajzderskich z Łęgu pod Sremem, urywki korespondencji do stryja Januchowskiego, B. Deichsla, Cybichowskiego oraz pierwsze wypracowania z szkółki łojewskiej, dokonywane pod okiem własnego ojca. Ktokolwiek zechce odtworzyć dzieje duchowe i koleje zewnętrzne gimnazisty wielkopolskiego z lat ośmdziesiątych, ten sięgnąć musi do zapisków tego Wielkopolanina genjalnego, żyjącego intensywnie, szeroko i głęboko, studjującego hebrajszczyznę i sanskryt, Słowackiego, Heinego, Ibsena i materjalistów niemieckich obok przedstawicieli polskiej myśli zabarwionej heglistycznie. Jakieś szczęśliwe fatum uchroniło od zniszczenia te dokumenty chwili, które pod piórem genjalnego młodzieńca nabrały znaczenia nieprzemijającego.

Od r. 1905, poprzez Monachjum i tamtejszą polonję, w dużej mierze wielkopolską, kontakt Przybyszewskiego z Wielkopolską stał się znowu żywy. Tyczy to zwłaszcza jego wymiany listów z Władysławem Berkanem, najsurowszym sędzią poetyckich i ludzkich wybryków wybitnego rodaka. Okres wojny, „Zdroju" i powrotu do Poznania przysporzył poecie wielu cennych znajomości z Poznaniakami, dla których rzewne, skłonne do miłości serce Przybyszewskiego biło zawsze najżywszemi uczuciami. Swiadectwem tego są listy do dr. Czesława Ganowicza, Stefana Sonnewenta, Jerzego Hulewicza i jego rodziny, śp. Teodora Tyca, Stefana Szmaja, księdza prof. Szczęsnego Dettloffa, ks. Ewarysta Nawrowskiego, Tomasza Skorupki, dr. Janiszewskiego, inż. Wilhelma Zielonki, który acz rodem z Ukrainy, od lat dziesiątków osiadł w stolicy Wielkopolski. Najmłodszą falę przyjaźni poznańskich poety stanowić będą p. dyr. Wacław Dziabaszewski, prezes Wład. Kaźmierski, Władysław Skotarek, inż. Hugon Pekel, dr. Tomasz Graczykowski, adw. Józef Mielcarek, dr. Henryk Zborowski z Inowrocławia, pp. Marja i Józef Znanieccy z Jaront, w których zastała poetę nagła śmierć.

Ten właśnie moment, ta śmierć o miedzę od miejsca urodzenia, ten samotny grobowiec na wzgórzu przy starym drewnianym kościółku, gdzie klękał u ołtarzy młody Staś, oddała nam Wielkopolanom Przybyszewskiego na zawsze, narodziła go nam po raz drugi, tym razem już na nierozłączne bytowanie pośród nas. Nikt nie mógłby wymyślić coś bardziej pięknego, symbolicznego, prawdziwego niż ten powrót do rodzinnej ziemi. Mam niezłomną nadzieję, że stworzenie honorowej sali im. Przybyszewskiego w Muzeum Miejskiem w Poznaniu i wydanie „listów i pism publicystycznych" poety tą przynależność Przybyszewskiego do Wielkopolski jeszcze wyraźniej uwydatni i przypieczętuje.

Kosowo n/Obrą, sierpień 1935.

ALFRED JESIONOWSKI:

RYBY ŚPIEWAJĄ W UKAJALI — A GWIAZDY ŚWIECĄ W HOLLYWOOD

W wspaniale rozwijającem się podróżopisarstwie polskiem wybitne miejsce zajmują dwaj Wielkopolanie, wybitne, mimo, że właściwie dopieroco zadebiutowali. Wprawdzie zarówno Arkady Fiedler jak i Aleksander Janta-Połczyński mają w swym dorobku już inne utwory, ale dopiero te, które się właśnie co pojawiły, zwróciły powszechną uwagę na siebie barwnością ujęcia przedmiotu, zwartą i znakomicie przemyślaną kompozycją oraz starannym językiem

Ktokolwiek przeczytał nową książkę Arkadego Fiedlera[1]) musi przyznać, że dawno nie zdarzyło mu się czytać tak czarującej książki podróżniczej, jak ten opis wyprawy nad Amazonkę. Jest to bodaj pierwsza książka podróżnicza w Odrodzonej Polsce o równych i pierwszorzędnych walorach artystycznych i rzeczowych. W płynnem i bezpretensjonalnem opowiadaniu prowadzi nas autor do puszczy nad Amazonkę, która „jest Eldoradem dla przyrodnika, który, zagłębiając się w to piekło, odkrywa najwspanialsze cuda przyrody: kwiaty o dziwacznych barwach, tajemnicze orchideje o najbardziej zmysłowym zapachu, motyle barwniejsze niż jakiekolwiek kwiaty, kolibry mniejsze i barwniejsze niż motyle, inne ptaki o groteskowych kształtach, ssaki, które przeżyły się w dawniejszych epokach, mrowiska o porządku socjalnym tak idealnym, o jakim my ludzie nigdy marzyć nie możemy; słowem, otacza przyrodnika opętana, rozpasana, obłędna wybujałość wszystkich objawów życia w przyrodzie. Problemy biologiczne, które gdzieindziej z trudem trzeba wyłuskiwać z ukrytych form, tu nad Amazonką, leżą jak na dłoni: zbierać je tylko jak dojrzałe owoce." O tych cudach przyrody opowiada nam autor w szeregu rozdziałów poświęc. pająkom, papugom, motylom i kolibrom, ujmując swe spostrzeżenia i badania w formę prostego a niezmiernie sugestywnego opisu. To znów porwany jakąś nagle objawioną tajemnicą przyrody — zaduma się nad nią i dzieli się z nami wynikiem swych rozważań. Będąc świadkiem tysiąca dramatów, jakie się ustawicznie odgrywają w przyrodzie ukazaje nam niektóre z nich w pełnej napięcia relacji. Oglądamy barwny film o zajmującej, ba fascynującej akcji, na przemian poważnej i żartobliwej, tragicznej i komicznej, akcji, której bohaterami są mieszkańcy puszcz i lasów nad Amazonką, ludzie i zwierzęta. Ludziom poświęca autor stosunkowo mniej uwagi, ilekroć jednak zdarza mu się mówić o nich, stara się wiązać ich z problemami kraju, ująć człowieka na tle swego otoczenia. Tak opowiada n. p. o rozkwicie szeregu miast brazylyjskich na skutek rozwoju przemysłu kauczukowego — i ich tragicznym upadku po przejęciu tego handlu przez Anglików, którzy na Ceylonie stworzyli nowe plantacje kauczuku. Zagadnienie wpływów angielskich nad Amazonką przedstawia Fiedler ciekawie i dowcipnie poprzez charakterystykę trzech typów Anglików w Iquitos. Pełną charakterystykę stosunków tamtejszych znajdziemy w tragikomicznej sprawie zatargu o Letycję, która tyle wrzawy narobiła w Lidze Narodów, i wreszcie się sama szczęśliwie zlikwidowała. Powodem całej tej wojny, która w danych warunkach przybrać mogła groźne rozmiary, były ambicje jednego człowieka, don Aleksandra Vigila, który „zaproponował rządowi kolumbijskiemu, by kupił jego przedsiębiorstwa i tereny w Letycji. Rząd kolumbijski się zdziwił. Folgując ambicji narodowej, chętnie



ROMUALD BOGACZYK **„LINORYT Z TEKI — DRZEWA —" (linoryt oryg.)**

rozszerzył granice państwa i nabył Letycję, ale ostatecznie uświadomił sobie jasno, że nędzna osada rybacka, oddzielona od właściwej Kolumbji bezdrożnemi puszczami, nie przedstawia żadnej wartości i nie warta żadnej inwestycji. Więc rząd kolumbijski odmówił. Więc don Aleksandro Vigil się rozzłościł. A zatem zwołał swych letyckich Indjan i rozbroił kolumbijską załogę, składającą się z dziesięciu żołnierzy. Potem krzyknął na Amazonkę, że jest wściekły i wystrzelił w powietrze kilka razy. Działo się to w roku 1932". Wmieszały się w tę historję różne mniejsze i większe państwa o zakulisowych interesach — ale ostatecznie oba państwa bezpośrednio skłócone t. j. Peru i Boliwja — podały sobie najniespodziewaniej dla wszystkich ręce.

Do autochtonów odnosi się autor z szczerą sympatją i dużem zrozumieniem i wtedy kiedy mówi o ich pracy, rozrywkach, wiecznym głodzie miłości, stosunku do cudziemców i problemie kolonjalnym — i wówczas, gdy mówi o ich wadach. Wszystkie te relacje połączone są w dobrze

trzymającą się całość, dzięki czemu czyta się opisy te, wrażenia i wspomnienia jak doskonale skomponowaną powieść. Trudno naprawdę oderwać się od tych kartek napęczniałych żarem południowego słońca i filozoficzną zadumą człowieka wrażliwego na wszystko piękno, współczującego z każdą istotą cierpiącą.

Aleksander Janta - Połczyński wydał równocześnie dwie nowe książki. Jedna z nich jest zbiorem feljetonów o „stolicy srebrnej magji"[2]) Hollywood. Plastyczność, znakomita i bezstronna obserwacja, takt i delikatność w przedstawieniu skomplikowanego życia ludzi filmu — oto cechy zasadnicze tej z dużą kulturą napisanej książki. Autor starał się dotrzeć wszędzie, poznać życie Hollywood we wszystkich jego przejawach, i szczegółach. Piętrzące się trudności przezwycięża autor przytomnością umysłu, intuicją i znajomością ludzkiej psychiki, nabytą przez swe liczne i długie podróże oraz dużą kulturą osobistą. W ujęciu poszczególnych feljetonów i kompozycji całości przebijają się nietylko osobiste zainteresowania autora ale także dbałość o czytelnika, zdezorjentowanego często przez bałamutne lub wręcz nieprawdziwe relacje dzienników, przygodnych i samochwalczych reporterów. Nasamprzód obala Połczyński powszechnie utarte mniemanie, jakoby życie ludzi filmu było jedną nieprzerwaną rozkoszą i przyjemnością, upływało w przepychu i bezczynności. Wprowadza nas więc autor do pracowni wielkich wytwórni i na przykładzie filmu „Kleopatra" realizowanego przez wybitnego reżysera Cecil de Milla oraz detektywistycznego filmu, który reżyserował nasz rodak Bolesławski, pokazuje nam, ile mrówczej, wytężonej i wyczerpującej pracy wkładać muszą w realizację filmu gwiazdy i pionki, reżyserowie i operatorzy, jak to czasem jedna drobna scenka wymaga prób przez kilkanaście godzin, jak dla wywołania jakiegoś efektu technicznego trzeba tysiącznych, drobiazgowych i kosztownych przygotowań. Karjera wielkich gwiazd błyszczących na firmamencie filmowym — to bynajmniej nie sielanka, wśród której się zbiera fortuny i sławy. To mozolna, ciężka praca. Starczy, aby gwiazda nieco przybladła, już publiczność się odwraca od swej ulubienicy — a wtedy gwiazda spada nieuchronnie, poto, by może nigdy więcej nie ukazać się na srebrnym ekranie. A jakże uciążliwe jest życie prywatne tych gwiazd, które pilnować muszą najróżniejszych przepisów, by utrzymać się w formie, zadowolić wymagania producentów i konsumentów filmu. Janta - Połczyński umie opowiadać, nawet skądinąd dobrze znane rzeczy, jak historja „Myszki Mickey", czy życie Charlie Chaplina — w ujęciu wybornem Połczyńskiego przybierają cech nowości i świeżości. A o ilu rzeczach dowiaduje się przeciętny czytelnik poraz pierwszy? Kto np. wie, skąd wzięła się nazwa sex appel, tak powszechnie przecież i u nas używana? Połczyński poświęca historji tego określenia cały czarujący rozdział. Do najpiękniejszych rozdziałów tej książki należy przypadkowe spotkanie autora z sędzią Lindseyem, autorem dobrze u nas znanych książek jak „Bunt młodzieży", „Małżeństwa koleżeńskie". Jeśli nawet się nie zgodzimy z wywodami autora, co do roli, jaką przypisuje Lindseyowi na polską młodzież, to nie podobna odmówić Połczyńskiemu, że odtworzył piękny i przejmujący portret wielkiego bojownika o nową moralność. Feljetony o Hollywood nie należą do kategorji przemijających reportaży, które się czyta dziś dla celów aktualnych, by do nich później więcej nie wracać. Niechciałbym nawet przypinać tym świetnym obrazkom o stolicy filmowej etykietki „reportaży", bo feljetony te wykraczają daleko poza tę kategorję relacyj, które nazwać przywykliśmy reportażami. Są tutaj uwagi i rozważania, obrazki i spostrzeżenia, które swej wartości informacyjnej nie stracą.

Mniejszą błyskotliwością — a zato większą głębią odznacza się druga książka Połczyńskiego pod jakby się zdawało pretensjonalnym tytułem „Odkrycie Ameryki"[3]). Tak zupełnie bez uzasadnienia tytuł ten nie jest. Rozdział o „Nieznanej Ameryce", życiu artystów amerykańskich w kraju Indjan, nad Wielką rzeką, spojrzenie na Amerykę oczyma wybitnego powieściopisarza Dreisera, wizyta w więzieniu Sing-Sing stanowią bezwzględną nowość w naszej literaturze o Ameryce. Ale i pozostałe rozdziały tchną świeżością i oryginalnością ujęcia tematu. Ileśmy się to już naczytali o Nowym Yorku, mówił nam o nim Duhamel, Morand, Geo London, Szczepański, Słonimski i liczni inni podróżnicy — ale relacje te są albo przefilozofowane, lub ujęte zanadto z punktu widzenia Europejczyka, który nie stara się wczuć w odrębną atmosferę, dociec przyczyn tej odrębności i zrozumieć obcą kulturę. Wciąż wysuwa się rozmaite pretensje pod adresem Nowego Kraju, krytykuje się urządzenia, instytucje i ludzi — miast próbować popatrzeć na te obce nam zjawiska oczyma objektywnemi, nie uciekając się ustawicznie do porównywań, które z natury rzeczy kuleć muszą. Janta-Połczyński stara się w swych opisach o Ameryce właśnie postawić na stanowisku bezstronnego obserwatora, albo więcej jeszcze, wejść w położenie, niejako w skórę obserwowanych. Wiele zjawisk staje wtedy przed nami w zupełnie innem oświetleniu, prawda występuje jaśniej i bardziej przekonywująco, kultura obca zyskuje swe właściwe oblicze. Połczyński ma dar, czy szczęście wybieranie właśnie takich momentów, które dają wgląd w tę odrębną od naszej psychikę. Ile to charakterystycznych dla Ameryki cech odkrywa przed nami autor w opisie wizyty u starszych literatek amerykańskich, albo w rozdziale o piłce nożnej w Ameryce, czy też w uwagach na temat „snobizmu i reklamy". W tych z humorem i werwą ujętych charakterystykach odsłania się przed czytelnikiem strony życia amerykańskiego, które pozwalają nam zrozumieć niektóre cechy charakteru narodowego Ameryki. Jaki wspaniały przekrój życia religijnego i towarzyskiego Ameryki daje nam opowiadanie o życiu i czynach „Anioła w Anielskiem Mieście", szarlatanki i spryciarki Aimée Semple Mc. Pherson! Z niezwykłą przenikliwością uwypuklił autor tu i także w opisie obozu „nagich ludzi" tę tęsknotę zmęczonych maszynizacją Amerykan do życia duchowego, do ucieczki od przerafinowanej cywilizacji Ameryki. Cała książka Janty-Połczyńskiego jest prawdziwą kopalnią najróżniejszych aspektów życia amerykańskiego, z których sobie wydedukować można interesujące wnioski o teraźniejszości a bodaj nawet o przyszłości Ameryki. „Odkrycie Ameryki" obok świetnego studjum polityczno-socjalnego Faya daje głęboki wgląd w duszę narodu, który zbyt często u nas oceniany jest według utartych i wyświechtanych już mocno szablonów. To też stanowi nietylko jeden jeszcze tom opisów dzisiejszej Ameryki więcej, ale zmusza do przemyślenia szeregu zagadnień, do zrewidowania wielu zbyt prostaczo pojmowanych poglądów, jakie u nas kursują o Nowym Kraju. Wyborny i dbały język, pełen werwy i młodzieńczego rozmachu styl czynią z książki tej rozkoszną i wartościową lekturę, wyznaczają jej poczesne miejsce w naszej literaturze podróżniczej.

Książka Fiedlera i obie prace Janty - Połczyńskiego są także dowodem, że Wielkopolska nie jest bynajmniej takim ugorem, jakby się to powierzchownym obserwatorom twórczości literackiej Wielkopolski zdawało.

1) Arkady Fieder: Ryby śpiewają w Ukajali — Warszawa 1936, str. 242 (liczne ilustr.) T. W. „ROJ".
2) Al. Janta-Połczyński: Stolica Strebrnej Magji Warszawa 1936 str 236 (liczne ilustr.) T. W. „ROJ".
3) Al. Janta Połczyński. Odkrycie Ameryki — Warszawa 1936 str.205 (ilustr.) Wyd. J. Przeworskiego.

SZYMON PIGWA:

OJCZENASZ ROLNIKÓW

Poemat wyjęty z przygotowanego do druku nowego tomu wierszy p. t. „Freski Na Chmurze“.

Ojcze lnu i kaozeńców, i kóz i źrebaków,
Ojcze dziewczyn z zaciągu i wdów — emerytek,
Ojcze chłopów, co jeszcze nie chodzą na zaciąg,
Ojcze tych, co są głodni, ale kraść się wstydzą,

Który jesteś w niebiesiech, Ty masz w ręku wagę
Robót na czas skończonych i polnych kradzieży,
Pomór bydła, prosimy, Panie oo nas zabierz,
Pozwól nam się wyorać — słoneczną daj jesień.

Skotarz pacierz odmawia: Święć się imię Twoje...
Myśli: pewnie już jutro zaczną kosić owies,
Lezie wolno, człapiący, patrzeć jak tam doją,
Senność nie chce umykać spod czerwonych powiek.

Dziej się wola Twa, Panie, niech już będzie susza,
Niech spopieli kartofle i zapiecze rolę,
Wszak na Górze Oliwnej Tobie było dużo
Smutniej, jednak szeptałeś: „Ojcze, Twoja wola...“

Jako w niebie, tak tutaj, skaraj nas dowoli,
Ześlij sówkę na sosny i czerwonkę wieprzom,
Gradem jęczmień wytrzaskaj, rzuć w stodołę piorun,
I przez cztery miesiące nie daj kropli deszczu.

Kromkę chleba bądź łaskaw dać nam dziś i jutro,
Ceny zboża nam podnieść, mrą głodem rolnicy,
Z chałup Rozpacz powstała, idzie powolutku,
Rośnie perzem w burakach, i po rżyskach krzyczy.

Nasze winy nam odpuść, nałóż nam pokutę,
Potem łatwiej nas przyjmiesz nazad do Swej łaski,
Więc udręką nam wyrzeźb duszę, jakby dłótem,
By nas Szatan i czeluście nie wodził na pasku.

Bo myśmy odpuścili naszym winowajcom,
Już byle był tu spokój — ...Na co nam vendetta?
Jesteśmy otępieli jak te konie w stajni
Fornalskiej po oraniu. Czy wierzgają? ...Gdzietam!

I nie wódź nas w pokusy: kochamy oszczerstwa,
Przy plotkach nam z przejęcia to aż serce dzwoni,
Lubimy drągiem woły uderzać po piersiach,
I zjeżdżać na latówkach na śmierć smutne konie.

ięc nas zbaw ode złego: djabeł chrapie w stogu,
W szuwarach głośno prycha i macha ogonem,
Przepędź złe duchy, zrób tak, byśmy mogli w głogach
Wytarzać się w złą chwilę, jak święty Antoni!

MARJAN TURWID:

NAUKA

Tatry uczyły mnie zachwytu,
gdy z kłębów źrenic
lśniące nici spojrzeń
wyciągnęły aż do śnieżnych szczytów.

Bałtyk mnie uczył tęsknoty,
gdy mnie głębią wód powstrzymał w biegu
i drugiego nie pokazał brzegu
widnokręgu zakrywszy go płotem.

Ale tutaj, gdziem cudów nie szukał.
gdziem żył w dni powszednich poniewierce —
z Wielkich Dolin wielka przyszła nauka:
jak synowskie uczuć w piersiach serce.

STANISŁAW CZERNIK:

ELEGJA O PRZESZŁOŚCI

Głowo oddarta od ramion,
Straszliwego archanioła głowo!
Głowo uwiędła w zapomnianym okopie,
Pośród łopianu i pokrzyw,

W tych kędzierzawych włosach
Kwitną bławaty,
Z bagnetu utkwionego w czole
Zielona wyrasta sosenka.
Z gnijących oczu
Ciemne zrywają się szpaki
Razporaz,
Jak strzały karabinowe,
Ciemne świszczące ptaszki
Beztrosko biegnące w bór.
W nozdrzach jak w źródle
W najczystszą wodę zmieniona
Brunatna krew,
W okrutnem zapomnieniu
Tęskni do ciepłego, słońcem nagrzanego dzbana.
W ustach otwartych
Rozbity język, jak strzaskane wiosło,
Najbielszym kwitnie nenufarem,
Lilją dla głodnych Derwidów.

W okopie pełnym łopianu i pokrzyw
Trupia głowa archanielska.
Smutne jest słowo.
Słowem jak młotem nie można uderzyć
W czaszkę widmową.

Z widmowej czaszki tylko widma rosną
Bławatem,
Zieloną sosną.
Widmowe wylatują szpaki,
Widmowe biorą wodę dzbany,
Widmowe sycą głód nenufary.

Smutne jest słowo.
Słowem jak młotem nie można uderzyć
w czaszkę widmową.

JAN PIECHOCKI:

LAUREAT CZY COŚ WIĘCEJ?*)

W wierszu introdukcyjnym do *Brzemienia niebieskiego* powiada *Wojciech Bąk* o poetach, że zmagają się z „siłą ciemną", biegną za kimś nieuchwytnym, „zaplątani nie w fakty, ale żywe mity". Poeci —

...„szepcą tysiąc imion,
by którem nareszcie
Uchwycić Cię za skrzydła,
gdy mkniesz ponad głową —
A Ty, jak wicher wiejesz
po krzykliwem mieście
I jak rękom żebraków
wyrywasz się słowom!"

Wiersze o poetach brzmią zawsze jak wyznanie twórczej wiary autora. Posługując się trzecią osobą liczby mnogiej, mówi on właściwie tylko o sobie.

Od wiersza wstępnego poczynając a kończąc na „spisie rzeczy", tchnie niemal każda stronica *Brzemienia* tym samym — bogomodlnym i bogobórczym — nastrojem. Wraz z Rilkem mógłby Bąk zawołać: „Ich kreise um Gott, den uralten Turm". Poszukiwanie, tropienie i ściganie Boga, krążenie wokoło najwyższych tajemnic bytu, zaduma nad tajnikami ludzkiego losu stanowi przedmiot namiętnej pasji poetyckiej Bąka. Tytuły wierszy, zaczerpnięte z religijnej, a nawet wręcz kościelnej nomenklatury, są jakby zewnętrznym przejawem tematyki podniosłej, głębokiej, wieczystej: *Ojcze nasz, Śmierć chrześcijańska, Wskrzesiciel Łazarza, Psalm poranny, Hymn do Ducha Świętego.* Nie oznacza to, aby młodej literaturze naszej (czy najmłodszej) przybył jeden „świątkarz". *Religijna tematyka wierszy Bąkowych nie symuluje gierek czysto stylizacyjnych i na chrześcijańsko farbowanego rymoróbstwa.* Z drugiej strony nie prezentuje autor kramu dewocjonaljów, ckliwo - słodkiej tandety i gipsowych pasyjek. Choćby dlatego, że jego dusza, niby fala o rozległej amplitudzie, wznosi się raz ku szczytom chrześcijańskiej modlitwy, raz znowu tłucze się wśród rozpaczliwej pustki bezkresu rzeczy, raz wreszcie opada na samo dno zwątpień i nicości. Czytelnik, wertując stronice *Brzemienia niebieskiego,* jest świadkiem dramatycznej walki Jakóba z Aniołem, walki ponawiającej się ciągle, w duszach mocarzy myśli i w duszyczkach prostaków, w duszy każdego z nas. Poeta otwiera przed nami swe serce i spowiada się w najdosłowniejszem znaczeniu. Jeśli ktoś nazwał każde wybitniejsze dzieło sztuki pamiętnikiem, to określenie to w stosunku do wierszy Bąka nabiera cech szczególnej trafności.

A więc w formach artystycznej architektoniki zaskrzepłe obrazy wzlotów i zrywów, ukojeń i uciszeń, nienasyceń i głodów. Raz koją niespokojnego syna XX wieku słowa kornie szeptanej modlitwy:

„Nie chciałbym domu Ci otworzyć,
A jednak go otworzę —
Nie chciałbym wyjść, a jednak pójdę,
Choć ciężko rzucić łoże.

O, wyczarujesz mnie muzyką,
Jak lunatyka nowiem —
Na służbę wierną, gorzką walkę —
Na życie Chrystusowe!" (W śnie.)

Innym razem znowu cała nędza marnego, zakłopotanego życia ziemskiego wydaje się poecie lepszą od „niewypowiedzianych rozkoszy". Pospołu z swoim *Szewcem w zaświatach* broni się tedy Bąk przed widmem „uszczęśliwiającej" śmierci:

„Nie chce nieba aniołów, Sefirotów,
Tronów,
Nieba bezbarwnej tęczy i milczących
śpiewów,
Nieba rzeczy straconych, idej
ożywionych,
Gdzie Bóg się oceanem w chaosie
przelewa."

Kiedyindziej wreszcie z duszy, zgnębionej rozterkami, wyrwie się okrzyk buntu:

...„Więc czemuż duszę prześladujesz,
Gdy mogłeś stworzyć mnie kamieniem?"
(Niebo kamienia.)

Byt roślin i zwierząt, nawet przedmiotów martwych, prostego kamienia polnego n. p., wydaje się godnym pozazdroszczenia ‚Królowi stworzeń' w chwilach miotania się bezsilnego w granicach naszych szczupłych terenów poznawczych, poza któremi zionie ciemna otchłań niewiadomego. Darmo będzie się człowiek bronił przed determinacją:

„Niech oczom snami obłąkanym
Prawda jak biblja się otworzy —
I na pogańską duszę spłynie
Łagodny pokój Boży!"
(Śmierć chrześcijańska.)

W nowym podrywie zwątpienia cisną się buntownicze wyrazy:

„Panie! Nie ugnę się pod modlitwą,
jak pod wiatrem klony"
(Ojcze nasz.)

Dusza i ciało, wiara i zwątpienie, Chrystus i Apostata, modlitwa i bluźnierstwo — oto bieguny, wokoło których polaryzuje się poetycki świat Bąka. Znajdujemy się w kręgu urzekającego piękna rzeczy groźnych i ponurych. Przebywamy w strefie duchowej, która zrodziła *Dies irae* i *Święty Boże,* w regjonach stapiania się religji i poezji w cenny dla myśli twórczej amalgamat.

Jakkolwiekbyśmy ocenili stanowisko poety w tej czy innej kwestji filozoficznej czy religijnej, przyznamy przecież, że *już dzięki samej problematyce* wiersze Bąka uderzają sympatycznie na myślowo wyjałowionym ugorze naszej liryki. Jeśli nawet w malarstwie i rzeźbie przejawiać się zaczyna pewien renesans walorów tematycznych, to temwięcej w poezji prosi się *zawartość myślowa* o przywrócenie jej należnej roli. Na tle trwającego u nas ciągle jeszcze zalewu pseudoawangardowego, który wiersz liryczny zredukował do poziomu wyrafinowanie bezsensownej składanki słownej, wyrasta Wojciech Bąk na herolda poezji, posługującej się mową ludzką zgodnie z jej naturalną funkcją. Słowa nie mogą być, żeby niewiem jak wymyślnie były nizane, celem w sobie: ich zespoły muszą coś wyrażać. Poeci powojenni, udoskonaliwszy bezsprzecznie mowę poetycką, zapomnieli o tej prostej prawdzie, że narzędzie jest bezwartościowym gratem, jeśli nie służy żadnemu celowi. Doprowadzając „jak" do niemal perwersyjnej, barokowej perfekcji, zapomniano o znaczeniu „co" w poezji. A może przerost formy zjawił się jako symptomat uwiądu myślowego, zaniku *tej* problematyki, która do niedawna stanowiła o tematyce utworów poetyckich? Może demon specjalizacji, tak modny w naszej epoce, pchnął również poetów w ślepą uliczkę czysto „fachowych" eksperymentów? Może w pogoni za specyficznie „poetyckiem" słowem zapomniano o takiej oczywistości jak ta, że *poezję stwarza przedewszystkiem dynamika przeżyć i siła spięć duchowych?*

W związku z temi pytaniami nasuwa się przypuszczenie, że nagroda dla Wojciecha Bąka, laureata stworzonej przez *Wiadomości Literackie* Niezależnej Akademji Literatury, to wyraz *nurtujących tęsknot za poetą, który dawszy pokój fachowej ekwilibrystyce formalnej i żonglerstwu estetycznemu, byłby tłumaczem prometejskich uczuć ludzkości.* Tak czy owak — nie mieści się Bąk w żadnej klatce czy klitce, w żadnej fakcji czy szkółce tego czy owego „izmu", a najmniej tej, która za motto bierze słowa *Peipera:* „Piękno zdania nie liczy się z niczem innem, jak tylko z sobą samem".

Podkreśliwszy ideowe oblicze wierszy Bąka, ideologiczność *Brzemienia niebieskiego,* — reakcyjną względnie rewolucyjną, zależnie od ustosunkowania się do współczesnych prądów, nie chcemy przez to powiedzieć, jakoby wiersze te cechowała akademicka gładkość lub strofkarska potoczystość. Jak

*) Wojciech Bąk: Brzemię niebieskie — Warszawa 1934.



WŁADYSŁAW FRYDRYCH „CHATY” (linoryt oryg.)

wszystko, co posiada piętno szczerego i żywiołowego talentu, nie są produktem łatwizny i kaligrafizującej sztuki. Wiersze Bąka wymagają uważnej, natężonej lektury — nie wpadają łatwo w ucho, lecz nie spływają także bez śladu. Urok tych poezyj polega na pełnem młodzieńczego wigoru stapianiu różnorodnych metali na bronz poetyckiego materjału. Stop niezawsze jest doskonały — obok śmiałych i nieoczekiwanych metafor i hiperbol zjawiają się miejsca puste w sensie obrazowości i rytmiki. Bąk dzieli z niektórymi współczesnymi poetami np. Czernikiem tendencję do posługiwania się *czasownikami odrzeczownikowemi*, tworząc dużo mniej lub więcej szczęśliwych neologizmów, n. p. *chałupiejesz, polniejesz, lipiejesz, wsiejesz(!)* Mowa jego jest „*chałupianie* zapatrzoną w niebo“.

Osobliwości i osobliwostki stylu uświadamiają się jednakowoż dopiero może przy wtórnej, specjalnie w tym kierunku nastawionej lekturze. A że twórczość Bąka — jak się wyżej rzekło — nie ma charakteru stylizatorskiej wirtuozji, *nie na te właściwości frazeologji poetyckiej* powinien padać akcent krytyka. Natomiast, ogarniając utwór tu omawiany z dalekiej bądź co bądź perspektywy czasowego oddalenia (od wydania *Brzemienia niebieskiego* upłynął 1 rok), wraca się do stwierdzenia: *poezję stwarza przedewszystkiem dynamika przeżyć i siła spięć duchowych.*

Prawda, oczywista prawda, którą nam *Wojciech Bąk* przypomniał. Dlatego pytam się ponownie: „Laureat, czy coś więcej?“

STEFAN BALICKI:

NOWY PŁASZCZ

Pewnego popołudnia matka ogląda uważnie płaszcz Antosia. — Rękawy wytarte — mruczy do siebie — podszewka w szmatach — znowuś guzik oberwał?

— Nie oberwałem — Kalimek urżnął nożem.

— Już to ładny numer ten Kalimek. — Chyba kupić mu nowy — mówi nieśmiało do ojca. Ojciec właśnie jest po drzemce południowej. Patrzy zaczerwienionemi oczyma na Antosia.

— Z czego — woła groźnie. Matka wzdycha — Trudno już cerować —

— Trudno cerować? — z próżnego nalać łatwiej? — Twój ojciec zapracowuje się — zwraca się do Antosia — a ty tymczasem ot co! płaszcz ładny płaszcz! — worek na puste flaszki. —

Zlepia papierosa i mruczy jeszcze.

— Gałgan. —

Wieczorem idą obaj z ojcem do Grzymały po płaszcz. Ojciec niesie ostrożnie swój za mały kapelusz, jakby się obawiał go upuścić. Antoś też nie idzie, lecz kładzie stopy, bo jest błoto. Ojciec bardzo nie lubi widoku zabłoconych butów. Zabłocony but wymaga oczyszczenia, co niszczy szczotkę i nasmarowania, przez co zużywa się pasta. O Antosiu ojciec mawia, że lekkomyślnie chodzi. Władek natomiast jest specjalistą od błota. Ojciec ogląda zawsze jego buty i twierdzi, że Władek wyszukuje sobie błoto, a może nawet pluje na kurz i rozrabia.

Drogę należy skracać o ile możliwości. Na rogu ulicy ojciec staje i wymierza ręką linję, którą chytrze przetną ulicę, skrócą, aby nie ścierać zelówek. Skracać a nie zabłocić się, to rzecz dość trudna. W drodze ojciec zwyczajnie milczy. Jednem

słowem iść z ojcem to żadna przyjemność.

Przy wejściu do Grzymały ojciec mówi groźnie:

— Kupię ci płaszcz na wyrost. —

W sklepie siada Antoś na krześle i liczy tych przechodniów, którzy zaglądają w okna. Grzymała coś tłumaczy, przedstawia, na co ojciec odpowiada:

— Pięknie, bardzo pięknie — ale skąd wziąć skąd wziąć? —

Wreszcie wyciągają długą, czarną sukmanę, którą ojciec przepatrzył, poprzewracał i przewąchał. Antoś ubiera się a raczej wchodzi w długą sukienną rurę.

— Za długi — protestuje nieśmiało.

— A to rośnie — pyta ojciec — płaszcz, czy ty? —

— Rękawy — tłumaczy Antoś.

— Świetne rękawy, doskonałe rękawy! Nie potrzeba nawet rękawiczek na zimę. Grunt, żeby był ciepły. —

Płaszcz cięży na plecach i plącze się koło kolan. Antoś patrzy żałośnie ku świetnie skrojonym paltom, które wiszą nieporuszenie wzgardliwie.

— Podczas gdy ty idziesz teraz, to rośniesz sobie — mówi ojciec w powrotnej drodze — ciągle rośniesz. Jutro ten płaszcz już będzie mniejszy. — Antoś jest nieco pocieszony.

W domu opowiada wszystko Władkowi.

Ja wiem, on nie wie, że jest trochę za długi. Ale ja rosnę, ciągle rosnę. A płaszcz nie rośnie. Ten mi się najwięcej podobał i dlatego go wybrałem. Mogłem wziąć mniejszy i za miesiąc takbym wyglądał.

Antoś podkasuje płaszcz, zagina rękawy do łokci i pokazuje jakby inny płaszcz wyglądał.

— Bardzo dobrze — mówi Władek. — Ale swoją drogą wyglądasz jak żyd. Mały żyd ubrany w chałat swego ojca, który zajada śledzie i ssie kostki kurze.

— Bardzo dobrze — odpowiada Antoś. Ale to jest mój płaszcz — rozumiesz?

— Mój!! — wrzasnął nagle.

Pojednany już zupełnie z płaszczem, Antoś wiesza go wieczorem do szafy i głaszcze go po grubych rękawach.

— Zawsze ty jesteś mój płaszcz, a niczyj inny. I „grunt", że nie jesteś za mały — tłumaczy resztkom wątpliwości.

JANINA DERYNŻANKA:

LIPY

Cóż się z wami stało, o, lipy? Byłyście takie kwitnące!
Dziś serca waszych liści wypalił do cna żar słońca —

gałęzie śnią o kwiatach, z których je podstępnie odarto —
rój złotych pszczół brzęczących nie jest już dla nich światem.

Dawniej szło się pomału wonną aleją lipową —
Wieczorna była pora — księżyc stał właśnie na nowiu...

ALICJA IWAŃSKA:

GENEZA

A na początku był chaos
olśnienia...
bez przerw, przemyśleń, ustaleń
— krążyły słowa w myślach niezrodzonych
— krążyły myśli w elektrycznych drgnieniach
skłębionej
w czasie spirali....
A gdy się myśli roztopiły szałem,
ogniem w uczucia próbując się wwiercać,
utworzyły się z pędzącej masy
rozgorzałe,
słońca,
dusze,
serca!
I gdy ciągle w rytm wirujące,
coraz dłuższe.
wolniejsze,
rzadsze,
zaczęły się skłębiać, pochłaniać,
wionął tkliwy
prąd miłości na pomoc...
Z mgieł burzliwych,
zapatrzeń,
przypuszczeń,
sformowała się świadomość powstania.
Kształt jej został falisty, kulisty,
—. rytmem igrał w tworzących się żyłach!
— Płomień dotąd nie chciał zaginąć,
aż spłynęła z oczu chłodna szklistość
i łzy rwące
rzeźbiącą lawiną
ochłodziły niewystygłą miłość.
Powstał wszechświat z życiem bez przeżyć...
— nie pętają go żadne pęta
innych cierpień i innych wierzeń...
Wierzy w przyszłość bez krwi i prochu!
Świat stworzony. — Ja — powstała przez miłość,
pierwszą siłą
pierwotnego człowieka
kocham,
tęsknię,
pamiętam,
czekam...

MIECZYSŁAW DEREŻYŃSKI:

ZAPOMNIANY PISARZ WIELKOPOLSKI NA ŚLĄSKU

WSPOMNIENIE O ANTONIM STEFAŃSKIM

W roku bieżącym minęło 70 lat od dnia urodzin płodnego pisarza ludowego Antoniego Stefańskiego z Szamotuł, który działał w Wielkopolsce, na Śląsku, Pomorzu, w Warszawie i we Lwowie. Na Górny Śląsk przybył Stefański ze Lwowa w 1895 r. i objął stanowisko księgarza, resp. książkowego w Zakładzie Wydawniczym Karola Miarki syna w Mikołowie. Z biegiem czasu zajął się Stefański opracowywaniem kalendarzy i przygotowywaniem do druku książek do nabożeństwa. Przeglądał także rękopisy, przysyłane przez różnych płatnych tłumaczów, ślęczał nad stosami korekt, załatwiał korespondencję, sprawy techniczne drukarni i księgarni itd. Pracowity, bystry, rzutki, wkrótce stał się kierownikiem literackim Zakładów Graficznych K. Miarki i na tem stanowisku rozwinął szeroką energiczną działalność. Miarka, którego wydawnictwa zaczęły się w najlepsze rozwijać, wydawał wtedy bardzo sympatyczny tygodnik dla szerszych sfer p. t. „Przyjaciel Rodziny", redagowany początkowo przez Wielkopolanina *Dionizego Kowalskiego*, następnie przez *Aleksego Kwiatkowskiego*, a wreszcie wprawną ręką Antoniego Stefańskiego. Pisemko to, bogato ilustrowane, doborową i obfitą treścią zyskało chętnych abonentów pomiędzy ludem śląskim; nakład jego podówczas bardzo wysoki, wynosił c-a 3000 egzemplarzy. Poza redagowaniem „Przyjaciela Rodziny", opracowywał Stefański wychodzące u Miarki kalendarze książkowe, książki do nabożeństwa i rozmaite broszury. Pod jego staranną redakcją ukazało się też kilka roczników „Kalendarza Marjańskiego" (Nakład c-a 150.000 egzemplarzy, z czego do Ameryki wysyłano 50.000), kalendarza „Rodziny Swiętej" (nakład c-a 40.000 egzemplarzy) oraz kalendarza „Przyjaciela Rodziny" (nakład c-a 20.000 egzemplarzy).

W tym czasie Miarka ukończył budowę nowego gmachu, w którym pomieszczono cały aparat wydawnictwa (biura, drukarnię, stereotypję, introligatornię, itd.) i odtąd datuje właściwy rozmach tej zasłużonej placówki, jak nawiązanie stosunków z Warszawą (Orgelbrandt), z ks. Józefem Stugraczyńskim z Łekna i innymi literatami, w czem Stefański był dla Miarki prawą ręką.

Pozatem wydawał na Śląsku własne broszurki, powieści, książki do nabożeństwa oraz tłumaczył dzieła niemieckie, francuskie i angielskie na język polski. I mimo żmudnych zajęć zawodowych znajdował jeszcze dość czasu na pracę społeczną, polityczną, oświatową. Urządzał wieczornice patrjotyczne, na których wygłaszał płomienne przemówienia; stworzył chór śpiewaczy w Mikołowie, a w gronie osób bliskich nieraz grał na fortepianie pieśni narodowe.

W Mikołowie przetłumaczył Stefański na język polski powieść Wallace'a *„Ben-Hur"* i powieść Beccker Stowe'a *„Chata Wuja Toma"*, które wyszły nakładem Miarki i cieszyły się niebywałą wprost poczytnością. Z oryginalnych powieści Stefańskiego, które ukazały się nakładem Miarki wymienić możemy *„Swiat i mądrość przedwieczna"*, *„Skazani do kopalń"*. *„Soteris"*, *„Modlitwa zwycięża"*, *„Domicjan"*, *„Wieniec i korona"*, *„Eustachjusz"*, *„Sybilla"*, *„Cesarz Domicjan"* i *„Grabarze w katakumbach"*. Powieści te, opisujące czasy męczeństwa pierwszych chrześcijan, ukazywały się po większej części bezimiennie.

Pod pseudonimem *„Stary Maciej"* napisał Stefański szereg broszur dla ludu, które wyszły z drukarni Miarki. Oto niektóre ich tytuły: „Wesołe chwile", „Gry i zabawy w kółku rodzinnem", „Gry i zabawy na wolnem powietrzu", „Gry towarzyskie", „Miłe zatrudnienia w wolnych chwilach", „Gry umysłowe", „Zgadnij", „Bawmy się", „Nauka o pływaniu", „Zabawy zimą", „Bądź oszczędnym".

Wielu książek anonimowych Stefańskiego dziś już niestety nie znamy; przepadły w mroku niepamięci, bo wydane były bezimiennie i nikt ich nie zanotował w żadnej bibljografji.

Z inicjatywy Antoniego Stefańskiego założone zostało w r. 1896 w Mikołowie pierwsze polskie towarzystwo o podłożu oświatowem p. n. „Zgoda", do którego przystąpili wszyscy poznańczycy, którzy u Miarki pracowali, oraz kilkunastu Ślązaków. Posiedzenia odbywały się raz w miesiącu. Prezesem był Stefański, który na każdem prawie zebraniu wygłaszał odczyty z historji narodu polskiego lub literatury polskiej, pozatem urozmaicano posiedzenia śpiewem chóralnym oraz deklamacjami.

W Mikołowie przebywał Stefański do r. 1899, pracując owocnie na polu publicystyczno-literackiem, społecznem i politycznem. Następnie przez rok pracował w Bytomiu w wydawnictwie „Katolika" w dziale wydawniczym (książek do nabożeństwa, powieści zeszytowych, kalendarzy i t. p.), a nie mogąc się pogodzić z Adamem Napieralskim, wrócił do Miarki i w Mikołowie pracował od 1 października 1899 r. do 30 czerwca 1901 r.

W tym okresie odbyły się w okręgu pszczyńsko-rybnickim uzupełniające wybory do parlamentu niemieckiego. „Centrum" postawiło wówczas kandydaturę barona Huenego. Ze strony polskiej nastąpiła secesja, kierowana z Bytomia przez redaktora „Katolika" śp. A. Napieralskiego, i wysunięto jako kandydata Polaka, adwokata dr. Radwańskiego, mimo, że w tym okręgu zawsze bezapelacyjnie Niemiec zwyciężał. — Stefański rozpoczął z gronem swych najbliższych przyjaciół (St. Dybicki, Wycisło, Warcichowski, Kudlek, Mikołajczyk, Rybicki, Sztyrbicki, Tomala, Tucholski, Zakrzewski — cały zarząd „Zgody") niezmordowaną agitację na rzecz kandydata polskiego. Ulotki agitacyjne przesyłano z Bytomia na ręce rzeźnika Wolfa (Polaka) w Mikołowie, a on dyskretnie druki te doręczał Stefańskiemu. Nocą rozlepiano afisze i ulotki polskie na murach Mikołowa. Pozatem Stefański i jego koledzy żywem słowem szerzyli propagandę na rzecz kandydata narodowego. Rozwinęła się cicha, wytrwała agitacja, w rezultacie której lud śląski wykazał dobitnie swoje poczucie polskości, przeprowadzając Radwańskiego c-a 13.000 głosów. Huene otrzymał tylko coś około 3800 głosów. Wielka konsternacja wśród Niemców. Nie pomogła nawet silna agitacja księży nastrojonych na nutę germanizacji. Np. w Mikołowie przed wyborami ówczesny wikarjusz, a późniejszy proboszcz ks. Grund (pochodzący z Gliwic; jego rodzice byli Polakami i podobno nawet po niemiecku mówić nie umieli) zwołał do sali restauracji „Bartonia" wiec przedwyborczy i tam w bardzo niesmaczny sposób zohydzał Polaków, jako pijaków itp. M. in. użył gołosłownego argumentu agitacyjnego i cisnął w zebraniu słowa: „Polacy zabili św. Stanisława". — Powstał ze strony polskiej silny protest; Stefański zażądał głosu, celem odparcia tego gołosłownego zarzutu. Ks. Grund, jako przewodniczący kategorycznie głosu odmówił i krótko potem zebranie rozwiązał. Mikołów, który wtenczas był prawie zupełnie

zgermanizowany, oddał na Radwańskiego przeszło 25 % głosów wrzuconych do urny wyborczej.

Cicha agitacja Stefańskiego była skuteczniejsza od demagogji księdza Grunda.

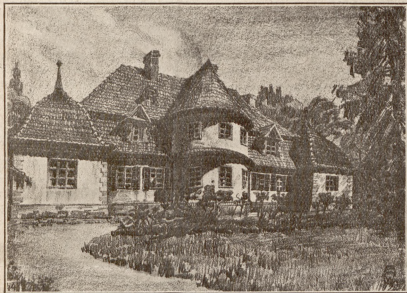
Stefański po swej żmudnej orce śląskiej przeniosł się na Pomorze, poczem działał w Wielkopolsce i zmarł w roku 1929 w Poznaniu.

Był to jeden z tych licznych na Śląsku działających Wielkopolan, którzy zasługują na wdzięczne wspomnienie.

M. TURWID:

TEKI WIKTORA GOSIENIECKIEGO

„...Chodzę i rysuję sobie zniszczone, wrosłe w ziemię dawne zabytki polskiego budownictwa drzewnego jeszcze stoją. Kapitalny dworek w Mącznikach naprzykład przebudowano w ostatnich latach zupełnie.



Wiktor Gosieniecki „Dworek w Koszutach" (z teki autolit.)

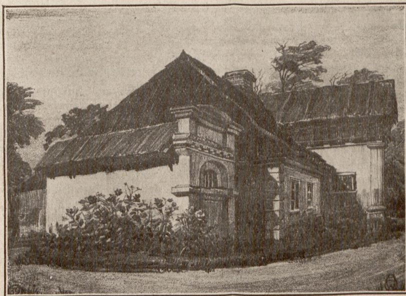
w województwach zachodnich. A ponieważ są tak pełne charakteru, tyle posiadają miłego oku polskiemu sentymentu, więc nic dziwnego, że zacząłem rysunki swe wydawać, oczywiście w miarę możności, oddzielnemi tekami...

Pozwoliłem sobie zacytować fragment z listu do mnie prof. Wiktora Gosienieckiego, gdyż fragment ten, prosto i jasno, mówi o intencjach, jakie spowodowały powstanie czterech, do tej pory, ciekawych, interesujących i pożytecznych tek z autolitografjami. W słowie wstępnem do ostatnio wydanej (nakładem własnym) teki z cyklu „ZABYTKI SZTUKI RODZIMEJ POLSKI ZACHODNIEJ" pisze prof. Gosieniecki:

...W wędrówkach swych po Wielkopolsce, która kryje do dziś dnia dużo nieznanych jeszcze zabytków budownictwa rodzimego, odnalazłem dawne dwory i dworki szlacheckie dotąd nie reprodukowene nigdzie (prócz Koszut) o tak oryginalnej sylwecie i takiej pełni charakteru polskiego, że poprostu trudno było nie narysować ich i nie utrwalić w litografjach póki A przecież w dworach tych i dworkach przechowują się szczątki dawnych tradycyj budownictwa polskiego w rzutach, konstrukcji i licznych szczegółach wnętrza...

— Rysujcie panowie polską wieś, — zwykł był mawiać Jan Stanisławski do swoich uczniów, — bo kto wie, jak długo jeszcze ta wieś będzie istnieć.

To pewne, że prędzej jeszcze, niż wieś polska, przestanie istnieć staropolski dwór. Nieubłagane prawo dnia powszedniego sprawi, że prędzej, czy później, ostatnie dokumenty dawnego budownictwa polskiego na ziemiach zachodnich znikną z powierzchni ziemi. I niema sposobu na to, by te cenne zabytki uchronić przed zagładą. Nie można przecież całych dworów przenosić w ochronne zacisze muzealnych ścian. Więc dobrze się stało, że zjawił się ktoś, kto przecież znalazł radę na ratowanie, choć pośrednie, drogich sercu i kulturze polskiej zabytków. I pod tym kątem, pod kątem utrwalanie ginących dokumentów piękna należy — w pierwszym rzędzie — patrzeć na wysiłek prof. Gosienieckiego. Jego rysunki powtórzone wielokrotnie drogą autolitografij, to przedewszystkiem ścisłe relacje fanatycznego regjonalisty a potem dopiero notatki rysownika-artysty. Swiadczy o tem zresztą programowa współpraca malarza z inżynierem - architektem. P. Jan Zbijewski, do każdej planszy artysty daje rysunek techniczny architekta. Nie znaczy to jednakże, by w autolitografjach swych Gosieniecki bagatelizować miał stronę formalną swych rysunków. Są plansze, w których strona rysunkowa interesuje nas w równym stopniu, co temat. (N. p. „Dworek przy ul. Lubrańskiego w Poznaniu.) A wszystkie rysunki Gosienieckiego cechuje miękkość i różnorodność w sposobie kładzenia



Wiktor Gosieniecki „Dworek w Grabonogu" (z teki autolit.)



Wiktor Gosieniecki „Dworek w Mącznikach” (z teki autolit.)

ij waloryzowania kreski. Przytem kreska jest żywa, szeroka, zdecydowanie akcentująca kształt i „barwę“ modelu. Być może, że możnaby mieć pewne zastrzeżenia, co do zabarwiania rysunków. Walor kreski w dostatecznym stopniu informuje o kolorystyce odtwarzanych zabytków. Dodawanie do czarno-białego rysunku jednej z zasadniczych barw wprowadza do wymowy walorów element nieuzasadniony i niepokojący swą przypadkowością.

To drobne zastrzeżenie nie ujmuje rzecz prosta litografjom Gosienieckiego ich znacznej wartości. Wartość ta wzrasta, jeśli na plansze Gosienieckiego patrzy się oczami widzącego regjonalisty. Jeśli doceni się potrzebę inwentaryzowania i ratowania cennych dla kultury wielkopolskiej zabytków. Na tem polu ważnej pracy kulturalnej plastyka prof. Gosieniecki na niejednego mógłby się powołać poprzednika. Że wspomnę tu choćby kapitalne rysunki Aleksandra Orłowskiego, utrwalające dla potomnych potęgę i piękno dawnych zamków polskich. Znakomity rysownik nie waha się także rezygnować czasem z czysto plastycznych walorów, na rzecz ścisłej relacji rysunkowej ważnego dla nauki i kultury tematu. Dobrze się stało, że ginący dwór wielkopolski znalazł również uzdolnionego malarsko miłośnika. Z biegiem lat, teki Wiktora Gosienieckiego staną się nieocenionym, jedynym i najbardziej wiarogodnym zbiorem dokumentów do dziejów budownictwa drzewnego Ziem Zachodnich.

Ten zbiór to, do tej pory 46 litografij ujętych w cztery teki. Teki te wyszły (w liczbie 300 egzempl. każda), z Zakładów Litograficznych F. K. Ziółkowskiego i Sp. w Poznaniu. Miejmy nadzieję, że nieliczne egzemplarze tek znajdą się wnet w rękach licznych regjonalistów wielkopolskich, oraz w posiadaniu naszych instytucyj naukowych i kulturalnych. Fakt ten umożliwi artyście przygotowanie i wydanie tek dalszych. Umożliwi mu doprowadzenie do końca ważnego i pięknego dzieła.

TADEUSZ PIETRYKOWSKI:

ZAPOMNIANA OPINJA O WIELKOPOLSCE Z R. 1916

Zadaniem każdego zdrowo pojętego regjonalizmu powinno być: dać Polsce ze swej dzielnicy jak najwięcej walorów kulturalnych, społecznych i gospodarczych.

W tym szlachetnym wyścigu dzielnic polskich o pierwsze miejsce współzawodniczy także Wielkopolska. I to nie od dzisiaj. Już za czasów naszej niewoli pracowaliśmy z myślą o Polsce, starając się w granicach zakreślonych nam przez zaborców realizować ideał, któremu na imię było: niepodległość polityczna, kulturalna i gospodarcza Polski.

Jako dowód, że praca nasza za czasów niewoli była systematyczna, celowa i skuteczna, że wyniki jej pod pewnym względem stawiały Wielkopolskę na pierwsze miejsce wśród wszystkich dzielnic Polski, niech posłuży nam opinja bezstronnej obserwatorki z Warszawy, wypowiedziana w r. 1916 na stronicach ciekawej, a dziś zapomnianej książeczki o Wielkopolsce.

Autorka wspomnianego dziełka, Stefanja Bojarska, jeszcze przed wybuchem wojny światowej podróżując po całej Polsce zbierała materjały dotyczące życia poszczególnych dzielnic z zamiarem opublikowania ich w postaci książki p. t.: „Nasz dorobek kulturalny“. Wybuch wojny światowej pokrzyżował plany autorki. Licząc się potrzebą chwili autorka rozdzieliła zebrany materjał na trzy części (I. Wielkopolska, II. Galicja, III. Królestwo), z których każda stanowi zamkniętą całość. Część I. wydawnictwa, zatytułowana „Wielkopolska“ (Wydawnictwo Kroniki Rodzinnej, Warszawa, 8⁰, str. 137) ukazała się drukiem w r. 1916.

Autorka bawiła w Wielkopolsce na wiosnę r. 1914 i jak pisze na wstępie swej broszury, poznała „życie mieszkańców dworów, pałaców i chat, mieszczaństwa i księży“, a spostrzeżenia jej i uwagi na temat naszego życia gospodarczego, kulturalnego i oświatowego są nadzwyczaj ciekawe. Nie będę powtarzał jej obszernych a trafnych wywodów na temat naszych przedwojennych stosunków wielkopolskich, a zacytuję jedynie końcową jej opinję o naszej dzielnicy (str. 134—135):

> ...To też gdy się na tę polską rządną gospodarkę w Wielkopolsce patrzą cudzoziemcy, to zdarza się, że potem na zjazdach kooperatystów angielskich prezes międzynarodowego Związku kooperatystów, omawiając te stosunki, pełen podziwu dla polskiej sprawności ekonomicznej, nazwie Polaków z Wielkopolski „kooperatystami z urodzenia“.
>
> ...Istotnie potrafimy nimi już bywać, jeśli się umiemy mocno wziąć w garść i stanąć na gruncie bezwzględnej uczciwości i braterstwa...
>
> — — — — — — — — —
>
> ...Wielkopolanie, chcąc się mocno oprzeć na gruncie ojczystym, stali się dobrymi kupcami i dobrymi finansistami, bo tego wymagała tam od nich dobrze zrozumiana polska racja stanu i rozumnie pojęta miłość ojczystej ziemi.
>
> ...Ze wszystkich ziem polskich przeciętnemu mieszkańcowi Królestwa, Litwy, Kresów, Galicji najmniej i najpowierzchowniej znaną jest Wielkopolska. A jednak wartoby tam jeździć po naukę kilku cennych przymiotów, których nam, Polakom, naogół brakuje.
>
> ... Przedewszystkiem uczyć się tam można cichej, wytrwałej pracy, nie zrażającej się żadnemi przeciwnościami.

...Można tam brać lekcje tego przyziemnego może, ale jakże dla normalnego i zdrowego rozwoju społeczeństwa niezbędnego „patrjotyzmu dnia codziennego“, tego patrjotyzmu, który brzydzi się używaniem imienia Polski nadaremno, ale buduje tę Polskę wysiłkiem zbiorowym każdego dnia i na każdem polu.

...I warto od nich przejąć nowoczesną technikę pracy i zasadę specjalizacji, tępiącą skutecznie wybujały a szkodliwy społecznie dyletantyzm.

...Oto wartości natury społecznej i narodowej przedniego gatunku, które od naszych braci z Wielkopolski przejąć winniśmy i na nasz grunt wszechojczysty przeszczepić, jeżeli chcemy stać się organizmem zdrowym, do samodzielnego bytu zdolnym.

Powyższa opinja o Wielkopolsce dotyczy czasów przedwojennych. A jak jest obecnie? Czy dziś w wolnej Polsce Wielkopolska straciła na opinji? Zdaje się, że nie. Świadczą o tem różne sądy o nas wypowiedziane w latach ostatnich ustami braci z innych dzielnic. M. i. odsyłam do pięknej powieści J. Weyssenhoffa p. t.: „Jan bez ziemi“, w której znajdujemy liczne dodatnie wzmianki o Wielkopolsce i Wielkopolanach.

A. SZYPERSKI:

BERTHOLDSTEIN I SEFER PASZA

Rycerskie zamczysko z zmurszałego średniowiecza! Osadzone na zrębie wyniosłej skały, pogrążonej w wonnych lasach przechodziło różne koleje, zmieniało właścicieli, aż upatrzył je sobie za siedzibę romantyk nad romantyki, choć Wielkopolanin, słynny Sefer Pasza.

Przewrócił zamczysko gruntownie tak, że wnętrze raczej przypominało siedzibę książęcą aniżeli stary kasztel obronny. Tu, w Styrji, spędzał Sefer Pasza letnie miesiące, aby uniknąć nieznośnych upałów Kaira i leczyć dawne rany — pamiątki z wojny krymskiej. Dowodził wtedy dywizją kawaleryjską.

Sefer Pasza, czyli Władysław Kościelski, rasowy szlachcic pochodził z Kujaw, urodził się w Szarleju roku 1820 i rozpoczął swą karjerę w wojsku pruskiem. Ambitny rotmistrz pojedynkuje się w obronie honoru Polaków z oficerem niemieckim i porzuca niebawem armję pruską, by zabłysnąć talentem strategicznym w wyprawie algierskiej. Niezwykłą brawurą i szaloną odwagą podbija serca monarchów, zdobywa zaszczyty przyjaźń i protekcje. Wyróżniał go Napoleon III, poznał się na nim książę Czartoryski, który mu powierzył kierowanie swą polityką w Konstantynopolu, ale zaanektował Władysława Kościelskiego, już pułkownika, sułtan Abdul Medzid. Widział w Polaku umysł bystry, europejski, duszę szlachetną, człowieka wyjątkowych zalet charakteru i zdolności. Sułtan uczynił go swym powiernikiem i doradcą, dopuszczał do kierowania całą polityką turecką a w dowód wdzięczności obdarzył Kujawiaka olbrzymiemi bogactwemi. Pozwolił mu nawet zachować swą wiarę katolicką, co było nadzwyczajnym przywilejem w Turcji: A gdy zaczęło budować kanał Sueski, Władysław Kościelski, wypróbowany przyjaciel Lessexa i wicekróla Egiptu, decydował o każdym szczególe tej wielkiej imprezy. I znów, chociaż na dworze Ismaela Paszy, namiestnika Egiptu, nie był żadnym ministrem, był jednak premjerem cywilnym i nieoficjalnym ambasadorem tego kraju w Europie.

Ale wróćmy do Bertholdsteinu. Żaden z pośród licznych zamków europejskich z jednastego wieku nie utrzymał się tak dobrze, jak ten od wieży strażniczej do więzienia zamkowego, od bramy z mostem zwodzonym i lochu do wylewania wrzącego oleju na wroga do trzech majdanów, od sali rycerskiej do kaplicy, od stajen do piwnic. Nie brakło nawet studni rzymskiej, ani tajnego ganku i tajnych drzwi w ścianach. Prawdziwym klejnotem Bertholdsteinu był dziedziniec arkadowy z galerją dla widzów w czasie turniejów albo punkt strategiczny w czasie wojny. Krużganek arkadowy liczył 33 łuki, obrośnięte winem. Wspaniałe miejsce spacerowe w porze deszczowej.

Sefer Pasza urządził zamek po turecku i ozdobił komnaty najwspanialszemi zabytkami sztuki Wschodu. Olbrzymie arrasy, perskie dywany, japońskie figury, turecka broń, chińskie minjatury — to osobliwości Bertholdsteinu. Część egipskiego muzeum wiedeńskiej wystawy światowej znalazła także tu swój przybytek. Dalej najgustowniejsze meble w różnych stylach, otomany, gobeliny, porcelana, wreszcie wspaniałe albumy, palmy i olbrzymie paprocie, słowem splendor, przepych i czar sztuki egzotycznej.

Ale Kościelski miał jeszcze inną słabość. To jego rasowe konie i prawdziwie królewska stajnia. Masztalarnia wyglądała jak muzeum, pełna rzeźb, głów końskich, siodeł cennych, różnych narzędzi, przyrządów itd.

Rasowemi końmi obsyłał Sefer Pasza największe wystawy światowe, kupował araby od carów rosyjskich i z dalekich stepów azjatyckich; jego konie uchodziły za najwartościowsze w Europie. Za jednego ofiarowano Kościelskiemu 20.000 guldenów.

Lubił się Sefer Pasza otaczać wielojęzyczną służbą, trzymał u siebie Austrjaków, Węgrów, Włochów, Francuzów i t. d.

Tu w Bertholdsteinie zakończył swój bogaty w treść żywot — ten osobliwy Turek z Kujaw. Rycerz-romantyk i dyplomata, farys wielkopolski, indywidualista o ogromnym rozmachu i wielkim geście. Jakby drugi Beniowski tylko bez jego ujemnych stron życia. — Spoczął w starej kaplicy zamkowej a legenda o nim rośnie, przekazywana usty sióstr zakonnych, które teraz szepczą swe modły w dawnych komnatach pałacowych. Na Bertholdsteinie zapanowała jakby żałoba, furtjan klasztorny opowiada przychodniom o rycerzu-tułaczu, który przywędrował tu z Egiptu a pochodził hen gdzieś od „Posen“.

Następne zeszyty „WICI WIELKOPOLSKICH“ przyniosą, między innemi artykuły i utwory następujących autorów:

Juljana Szpunara,
Henryka Kuminka,
Leonarda Turkowskiego,
Józefa Kołodziejczyka,
Adama Dytkiewicza,
Jolenty Brzezińskiej,
Janusza Deresiewicza,
Stefana Szajdaka,
Florjana Jernasa,
Franciszka Grotta.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł.
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu“, we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.